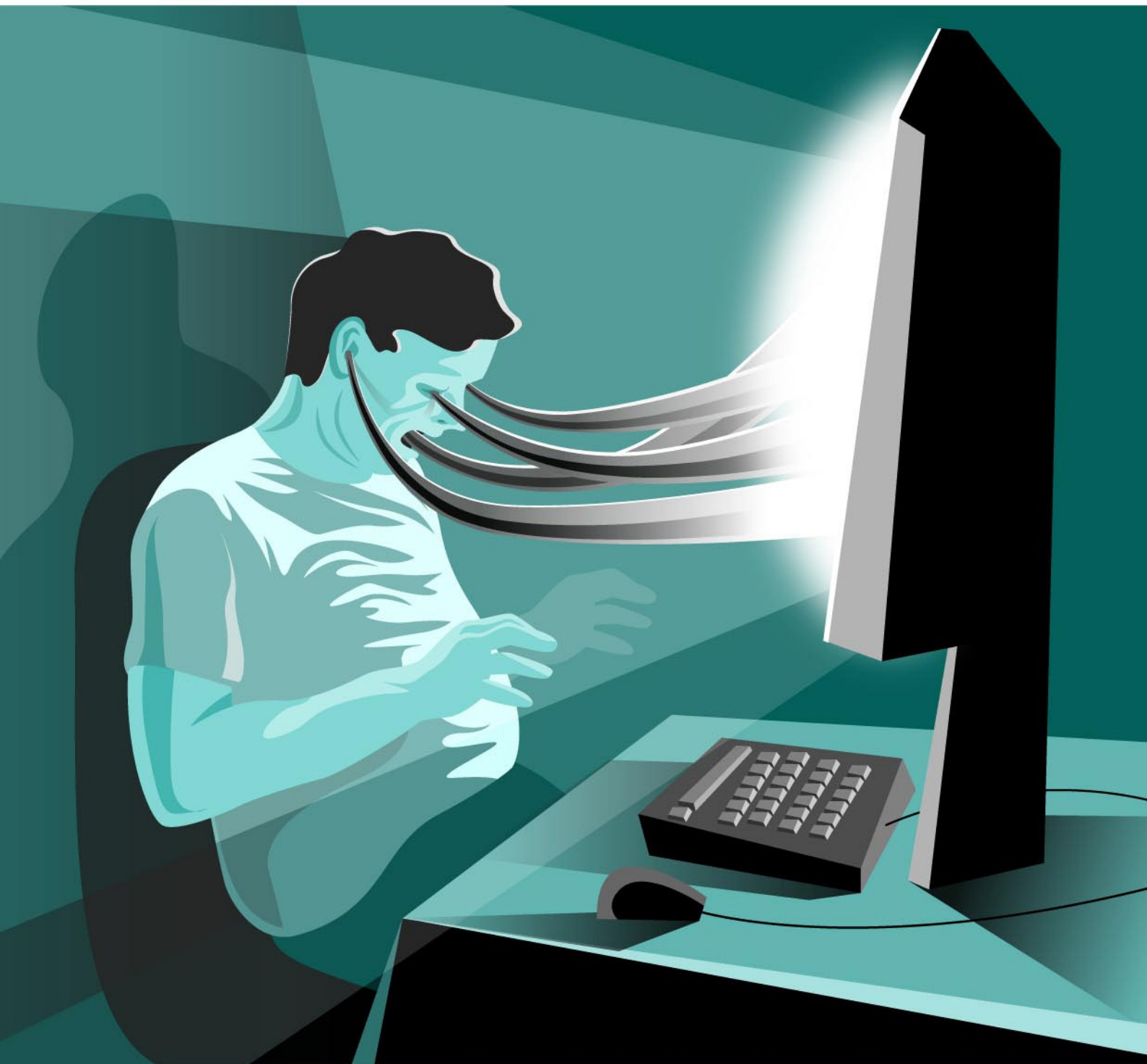


**NOWA KONFEDERACJA** nr 14 (26)/2014

3 kwietnia—9 kwietnia

INTERNETOWY TYGODNIK IDEI

cena: 0 zł



**ODMÓŹDŹACZE**

**CZYLI JAK WSPÓŁCZESNE MEDIA  
ZABIJAJĄ MYŚLENIE**

**W numerze:**

**Przekleństwa cybergeneracji**

Michał Kuź . . . . . 3

**Trzeba nas wziąć w kamasze**

Aleksandra Rybińska . . . . . 8

**Putinizacja Turcji**

Piotr Woyke . . . . . 10

**Za co warto umrzeć? Za co warto zabić?**

Maciej Gurtowski. . . . . 12

**Ordoliberalizm. Ziemia (Polakom) nieznana**

Krzysztof Wołodźko. . . . . 15

**Poroszenko jest Polsce na rękę**

Witold Jurasz. . . . . 19

## Przekleństwa cybergeneracji



**MICHAŁ KUŹ**

Redaktor „Nowej Konfederacji”

**Czy człowiek, który czyta mało, niewiele pamięta, a skojarzenie podsuwa mu wyszukiwarka, będzie w ogóle w stanie samodzielnie myśleć?**

12 marca tego roku Internet skończył 25 lat. Czy zmienił nasze życie na lepsze? Cóż, jest lustrem, w którym przegląda się globalna cywilizacja. A jest to cywilizacja dziś demokratyczna tylko w warstwie deklaratywnej, w swej istocie osuwająca się zaś w mroki nowego oligarchizmu i masywnej ignorancji.

### **Od erotyzmu to narcyzmu**

Pierwsze polskie portale, takie jak Onet, Wirtualna Polska czy Interia, u swoich początków były jeszcze bliskie edytorskim i treściowym standardom dawnej prasy papierowej. Degradacja postępowała jednak w zastraszającym tempie, i to jeszcze szybciej niż w przypadku dużych portali zagranicznych. Szybko doszło do tego, że przebywając na amerykańskiej uczelni, bałem się sprawdzać swoją onetową pocztę, by nie być oskarżonym przez administratorów uniwersyteckiej sieci o oglądanie pornografii. Rozneglizowane panie ilustrujące artykuły typu „Nietypowy orgazm u mojej dziewczyny” wyskakiwały bowiem od razu ze strony startowej.

Odejście od pogłębionych analiz oraz informacji politycznych na rzecz nowinek karstwa, zdrowia, kulinariów i seksu było dość typowe dla portali sieci w wersji 1.0. Bardzo przypominało to zresztą procesy, jakie w odniesieniu do telewizji już w latach 90. opisał Giovanni Sartori. Zdaniem włoskiego badacza, człowieka wyrosłego we współczesnej kulturze medialnej charakteryzuje spłylenie myślenia abstrakcyjnego; przejście od homo sapiens (człowieka myślącego) do homo videns (człowieka patrzącego). Ten ostatni to istota pozbawiona głębszej wyobraźni (którą kształtuje samotna lektura) i uzależniona od ciągłej stymulacji prostymi bodźcami wzrokowymi. Jest to też więc stworzenie o rozedrganych emocjach, stosunkowo łatwe do kontrolowania i podatne na polityczną manipulację.

### **Jak to ujmuje Sartori:**

„Istotą kultury obrazu, powstałej dzięki prymatowi telewizji, jest najogólniej mówiąc to, że niesie ona przekazy »gorące«, przekazy rozgrzewające nasze emocje,

rozpalające uczucia, podniecające zmysły, słowem: pełne namiętności [...].

W stosownym miejscu roznamiętniać się nie jest źle, poza nim – nie jest, niestety, dobrze. Wiedza to logos (myśl), a nie pathos (uczucie). Do zarządzania polityczną wspólnotą potrzebny jest logos. W kulturze pisanej najczęściej nie dochodzi do takiego „rozgrzania”. Nawet jeśli słowo może rozpalać emocje (np. w radiu), to na pewno czyni to w mniejszym stopniu niż obraz. Kultura obrazu niszczy delikatną równowagę między namiętnością a racjonalnością. Racjonalność gatunku homo sapiens zdaje się zanikać. Polityka emocjonalna, emocjonująca, podgrzana przez telewizję wywołuje i podsyca problemy na rozwiązanie, w których nie ma żadnego pomysłu”.

Sartori napisał powyższe słowa 16 lat temu i miał na myśli głównie telewizję. Nadal są one jednak aktualne w przypadku całej gamy mediów elektronicznych. Telewizja zresztą wciąż pozostaje niebywale wpływowa. Dzięki licznym programom informacyjnym i publicystycznym jest bezkonkurencyjna, zwłaszcza jeśli chodzi o oddziaływanie polityczne.

Przeciętny Polak spędza przed małym ekranem aż 3 godziny dziennie, Internet wypełnia mu zaś jedynie 1,5 godziny. Warto jednak podkreślić, że czas używania Internetu gwałtownie wzrasta w przypadku ludzi młodych. Przeciętny nastolatek spędza bowiem w sieci 2,5 godziny na dobę i mniej więcej tyle samo czasu poświęca na telewizję. Ludzie w wieku 60+ do Internetu nie zagląдают zaś prawie w ogóle, oglądają za to ponad 5 godzin telewizji dziennie.

Łatwo się więc domyślić, że po telewizji i dawnym Internecie 1.0 to właśnie współczesna sieć w wersji 2.0 będzie wyznaczać medialne trendy przyszłości.

Cechą wyróżniającą Internet 2.0 jest zaś to, że opiera się on głównie na rozmaitych formach „user generated content” (treści generowanych przez użytkowników). Jego symbolami są zwłaszcza YouTube, Wikipedia, blogosfera oraz media społecznościowe.

**Stado ludzkie ma wciąż pasterzy, nie ma już jednak wyraźnych przewodników. Autorytety, które w dawnych mediach mobilizowały ludzi do działania, są zastępowane przez administratorów i techników**

Do opisanej przez Sartoriego obrazowości, czyli onetowskich roznegliżowanych pań, dochodzi tu więc swoisty intelektualny odpowiednik autoerotyzmu, wsłuchania w dźwięk własnych opinii. Nie bez powodu Andrew Keen ochrzcił sieć 2.0 mianem „kultu amatora”. Dzięki Internetowi 2.0 ze świata człowieka demokratycznego zniknęły resztki znienawidzonego autorytetu, arystokratycznego arbitra elegantium. Amatorami w dziedzinie filmu, nauki, sztuki i zdrowia stali się wszyscy, specjalistą nie był nikt.

Można naturalnie powiedzieć, że sieć 2.0 obala jedynie fałszywe autorytety; mędrków i beztalencja, które wkradły się na uprzywilejowane pozycje dzięki sprytnym machinacjom, a nie wysokim kompetencjom. Prawda jest jednak taka, że ludzki umysł ze swoimi ograniczonymi możliwościami poznawczymi jest bezradny

wobec czegoś, co już śp. Stanisław Lem ochrzcił mianem „bomby terabajtowej”.

W morzu danych nasz mózg nie może dokonać oceny poprzez zwykłe porównanie. Posługuje się więc coraz częściej „wujkiem Google” jako swoim jedynym autorytetem. Jak to ujmuje Sartori: „Ilość i prędkość nie ma nic wspólnego z wolnością wyboru. Raczej odwrotnie, nieskończony, nieograniczony wybór to nieskończony, nieproporcjonalny do efektów wysiłek. Nierównowaga pomiędzy ofertą, jaką znajdziemy w sieci, i użytkownikiem, który miałby ją konsumować, jest ogromna, a nawet zabójcza. Ryzykujemy utonięcie w nadmiarze, przed czym próbujemy się bronić przez odrzucenie wszystkiego w całości, w efekcie tkwimy pomiędzy nadmiarem a nicością. Ten zmasowany atak prowadzi do atonii, umysłowego zwiotczenia [...]”.

### **Miękki paternalizm**

Telewizja i autorzy literatury popularnej wciąż jeszcze produkują tasiełce w stylu arcyzagmatwanej „Gry o tron”, robią to jednak głównie dla trzydziestolatków. Tymczasem, jak przekonuje coraz liczniejsza grupa specjalistów, mózgi ludzi znacząco młodszych niż sam Internet działają już na innych zasadach. Przede wszystkim brak im zdolności koncentracji, czytanie dłuższych tekstów odbierają niemal jako perwersję.

W skonstruowanej przez młode pokolenie kulturze zabraknie więc trudnych książek, skomplikowanych artykułów, a nawet rozbudowanych form wizualnych. Również zapamiętywanie i odtwarzanie informacji stanie się czynnością zbędną. Kluczowe będzie łączenie krótkich prostych treści w luźne sieciowe struktury. Czy jednak człowiek, który czyta mało, niewiele

pamięta, a skojarzenie podsuwa mu wyszukiwarka, będzie w ogóle w stanie samodzielnie myśleć?

Przypomina to nieco sytuację, która zaistniała, gdy po upowszechnieniu się silników mechanicznych nagle okazało się, że coraz więcej ludzi ma „problemy z kondycją”, czyli nie trenuje odpowiednio swoich mięśni i równocześnie przeciąża kręgosłupy przez siedzący tryb życia. Prowadzi to naturalnie do chorób, zwyrodnień i ogólnie obniża jakość ludzkiego życia.

Obecnie nauczyliśmy się natomiast konstruować maszyny, które połączone w sieć w coraz większym stopniu za nas myślą, zapamiętują i wyszukują informacje. Powstają już np. pierwsze programy piszące teksty dziennikarskie na podstawie wyjściowych zbitek informacji. Działa tak np. Quill firmy Narrative Science. Pracuje się też nad aplikacjami, które dzięki potężnym dostępnym w sieci bankom metadanych będą pomagać autorom scenariuszy i literatury popularnej umieszczać w odpowiednich miejscach zwroty akcji, które przykują uwagę odbiorcy.

Jeśli więc Internet i software za nas myśli i zapamiętuje, to logicznym wnioskiem jest stwierdzenie, że problemem pokolenia Internetu, tzw. digital natives (native’ów digitalnych) stanie się brak odpowiedniego wytrenowania mózgow. Konsekwencje tej słabości mogą zaś być znacznie poważniejsze niż w przypadku źle wytrenowanych mięśni.

O demokracji, czyli o rządach ludu, możemy mówić tylko wtedy, kiedy mamy do czynienia z ludem wykształconym i odczytanym politycznie. W przeciwnym razie poglądy polityczne stają się li tylko produktem demagogii sufłowanej przez kastę sprawnych oligarchów.

Dziś oligarchowie ci zaś będą mieli zadanie tym bardziej ułatwione, że dys-

ponują niezwykle dokładną wiedzą na temat swoich poddanych – sami im ją przekazaliśmy. Nasza działalność w sieci jest bowiem w pełni przeźroczysta.

Uspokajając nastroje wrogów cybernawigacji, politycy i eksperci często twierdzą, że szpiegowanie w sensie ścisłym, czyli przyglądanie się konkretnym rozmowom czy mejlom danego Iksińskiego to zjawisko marginalne. Większość instytucji zbiera o nas jedynie metadane, zagregowane informacje na temat tego, co kupujemy, jakiej słuchamy muzyki itp., a to przecież niegroźne – przekonują.

Sądzę, że jest odwrotnie: to właśnie metadane, których kopalnią stały się media społecznościowe, są naprawdę groźne. Poufny mejl można wykorzystać do manipulowania jedną, dwiema czy trzema osobami. Metadane w odpowiednich rękach, zebrane w duże zbiory i profesjonalnie obrobione, zawierają zaś klucz do manipulowania całymi społecznościami.

Banki takich danych coraz częściej służą np. ekspertom w dziedzinie ekonomii behawioralnej wywodzącym się ze szkoły noblisty Daniela Kahnemana i słynnego ekonomisty Richarda Thalera. Specjaliści ci (pracują m.in. dla Davida Camerona i Baracka Obamy) używają metadanych do opracowywania propozycji kolejnych, jak sami to nazywają, „delikatnych popchnięć” (tzw. nudge).

Chodzi tu, z pozoru, o nieinwazyjne polityczne i marketingowe posunięcia, których właściwy cel nie jest zrazu widoczny dla wszystkich zainteresowanych. Thaler pisze wręcz otwarcie, że nowoczesną formą sprawowania władzy powinien być „miękki” lub „libertariański paternalizm”, czyli umiejętność wpływania na wybory dokonywane przez ludzi, „tak aby były one dla nich korzystne” nawet wtedy, kiedy oni danych wyborów dokonać nie chcą.

Ów „miękki paternalizm” lub też, jak by go określił Tocqueville, „miękki despotyzm”, będzie zaś miał zadanie tym łatwiejsze, że będzie pracował z ludźmi o dobrze już ugruntowanej mentalności stadnej. Nowoczesne technologie wymuszają bowiem nie tylko spłylenie refleksji, ale i niebywały wręcz konformizm. Jeśli bowiem żyjemy w epoce, w której, jak to ujął Mark Zuckerberg (szef Facebooka), prywatność „nie jest już społeczną normą” i wszyscy jesteśmy w pełni transparentni, to oznacza to tyle, że żyjemy w epoce bezprecedensowej autocenzury.

W sieci nie ma już poufnej komunikacji, zaś by normalnie egzystować, musimy się dziś za jej pomocą komunikować wszyscy. „Młodzi ludzie nie piszą już mejli” – zauważył Zuckerberg; wolą społecznościówki. Tymczasem nasze profile facebookowe przeglądają nie znajomi, ale i obecni oraz przyszli pracodawcy, partnerzy, rodzina. Lepiej więc uważać, lepiej mówić, pisać, wklejać i „lajkować” bezpieczne banały. Robić to, co inni.

Owszem, Facebook i Twitter napędzają czasami bunt i rewolty, lecz tylko tam, gdzie są one mediami stosunkowo młodymi. Nadają się też jedynie do promowania nagłych zrywów. Inaczej niż zaangażowana prasa drukowana nie sprzyjają budowaniu trwałych instytucji i stabilnego poparcia dla określonych programów politycznych.

### **Elity oligarchiczne i republikańskie**

Poza subtelnymi popchnięciami nowi siewcy feudalowie mogą zresztą oddziaływać na swoich „klientów” bardziej bezpośrednio. Drażniące wypowiedzi, jak choćby cytaty z boksera, który dosadnie stwierdza na fanpage’u Frondy.pl, że nie lubi homoseksualistów, mogą doprowadzić do

zamknięcia profilu przez facebookowych strażników moralności. Stado ludzkie ma więc wciąż pasterzy, nie ma już jednak wyraźnych przewodników.

Autorytety, które w dawnych mediach mobilizowały ludzi do działania, są zastępowane przez administratorów i techników. Nad nimi sytuują się zaś potężni oligarchowie ze świata polityki, finansów i mediów.

Oligarcha podobnie jak republikański „arystokrata” jest często odczytany, inteligentny, zdolny i pracowity. Nie uważa jednak, że jest on cokolwiek dłużny ludziom, którzy mają od niego mniej szczęścia i talentu. Dlatego manipuluje swoimi poddanymi przy użyciu ich najniższych instynktów. Takim właśnie oligarchą jest słynny Mustafa Mond z „Nowego wspańskiego świata” Aldousa Huxleya, jest nim też prezydent Snow z cyklu „Igrzyska śmierci” Suzanne Collins (w ekranizacji w tej roli Donald Sutherland).

„Arystokrata” (w klasycznym tego słowa znaczeniu) lub też po prostu członek elity republikańskiej (służącej dobru wspólnoty) również chce władzy. Nie chce

jednak władać półzwierzętami, które sam odpowiednio ogłupił i zdemoralizował. Chce natomiast – o ile to możliwe – pomóc ludziom, którzy mu dają władzę dalej się rozwijać.

Trudno dziś nie zauważyć, że tradycyjne media upadają, a treści płytkie wypierają treści głębokie nieuchronnie i pewnie już nieodwracalnie. Kultura właściwa znowu staje się z wolna coraz bardziej elitarna. Renomowane prywatne szkoły w USA i Azji coraz częściej wprost zakazują uczniom używania jakiegokolwiek elektroniki w pomieszczeniach innych niż specjalne pracownie. Ogłupiamy w końcu „my”, a nie „nas”.

Już wkrótce samo myślenie abstrakcyjne, zwłaszcza myślenie o społeczeństwie i polityce, może zamienić się w rodzaj rzadkiej sztuki. Można mieć tylko nadzieję, że bardziej republikańska część współczesnych elit mimo wszystko nie zamknie się do końca w kryształowym pałacu i będzie wciąż uprawiać swoisty mecenat. Na takich ludzi wciąż liczą media obywatelskie (w tym nasz tygodnik).

## Trzeba nas wziąć w kamasze



### ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Redaktor „Nowej Konfederacji”,  
publicystka wPolityce.pl

**Rozumiem awersję ministra Siemoniaka do słowa „pobór”. Ale jeśli mówi, że system rezerw osobowych jest wystarczający, że mamy odpowiednią liczbę żołnierzy, jest to kuriozalne.**

Czy polska armia jest w stanie bronić kraju? Po kryzysie krymskim pytanie to wraca ze zwiokrotnioną mocą. Pojawiły się głosy o potrzebie przyspieszenia zbrojeń i powrotu do poboru. Jednak szef MON Tomasz Siemoniak uspokaja, mówiąc, że jesteśmy bezpieczni, a powszechna służba wojskowa to anachronizm. W drugiej sprawie podobnie wypowiedział się zresztą także Jarosław Kaczyński.

Czy rzeczywiście? Mamy oficjalnie 100 tys. żołnierzy, ale tylko 20 do 30 tys. w batalionach bojowych. Rosja zaś od lat konsekwentnie inwestuje w swoją gotowość wojenną. Działa też tak, by móc szybko uzupełniać jednostki rezerwistami. W Kaliningradzie jest tylko 15 tys. żołnierzy, ale aż osiemset czołgów i ponad tysiąc transporterów. Gdyby u nas nagle wydano rozkaz mobilizacji i przerwienia sprzętu, to w niektórych jednostkach o niższym poziomie gotowości nie byłoby nawet komu tego sprzętu wyprowadzić, a połowa pojazdów by się po drodze zepsuła i nie miałyby kto ich naprawić.

Warto przy tym dodać, że wydajemy całkiem spore sumy na obronność. Tyle, ile Finlandia, którą stać na wystawienie 250 tys. dobrze wyszkolonych żołnierzy.

Minister Siemoniak nie ma więc racji, mówiąc, że jesteśmy bezpieczni. Zupełnie zaś mija się z prawdą, gdy twierdzi, że resort zrobił wszystko, by załatać dziury w naszych zasobach.

Powszechny pobór został zawieszony w 2009 r. Była to realizacja wyborczej obietnicy Platformy Obywatelskiej. Oprócz chęci zadowolenia młodego elektoratu stała za tym także pewna ocena polityczna. Ówczesny minister obrony Bogdan Klich zarówno przed, jak i po wojnie w Gruzji mówił, że Polsce wojna nie grozi i że głównym zadaniem naszej armii jest walka z terroryzmem.

Zadaniem dla naszych sił nie miała więc być klasyczna wojna, w której państwo staje przeciwko państwu, ale patrole i zagraniczne misje. W czerwcu 2009 r. powstała „Strategia obronności Rzeczypospolitej Polskiej” – dokument koncep-



cyjny, który określał przyszły kształt polskiego wojska w oparciu o typowo ekspedycyjne strategie brytyjskie i amerykańskie.

Konflikt na Ukrainie zmienił sytuację na dwa sposoby: po pierwsze zwiększyło się prawdopodobieństwo klasycznego konfliktu pomiędzy państwami, co obaliło jedną z przesłanek z 2008 r. Po drugie, rosyjska strategia na Krymie pokazała, że ważne jest posiadanie stosunkowo licznych wojsk w różnych strategicznych punktach. Nie muszą przy tym to koniecznie być jednostki o dużej sile strategicznej. Sama ich obecność miałaby jednak za zadanie nie pozwolić na taktykę tworzenia faktów dokonanych.

Nauka jednak wyraźnie idzie w las. Nasze rezerwy nie zostały uzupełnione. Szkoli się ludzi, którzy ostatni kontakt z wojskiem mieli w najlepszym przypadku sześć lat temu. Nikt też nie policzył, ile dokładnie rezerw nam potrzeba, ani nie określił, jaki powinien być ich stopień gotowości bojowej. Narodowe Siły Rezerwowe miały być korpusem rezerwy podwyższonej gotowości. Ale nie są, bo nie zorganizowano ich jako jednostki bojowe czy też oddziały, które miałyby zabezpieczać obiekty strategiczne. Minister Siemoniak ogłosił za to, dość mgliście, że MON będzie współpracować z organizacjami paramilitarnymi. W rzeczywistości jednak ministerstwo nic w tym kierunku nie robi.

Fakty są więc takie, że w momencie, gdy pobór zawieszono, zignorowano to, jak będą tworzone rezerwy osobowe do nowego systemu. W efekcie, w obliczu nieuchronnego konfliktu, jedynym rozwiązaniem byłoby działanie w oparciu

o stare wzorce i zwyczajnie odwieszenie poboru powszechnego.

Pobór w Polsce naturalnie źle się kojarzy. Istotnie, stary model służby wojskowej był nieco anachroniczny. Szkolenie często było też źle zorganizowane, ludzie byli kierowani np. do szorowania garnków i tym podobnych bezsensownych prac.

## **Służba w wojsku nie musi być długa i nudna, o czym świadczy choćby przykład Finlandii. Tam**

**przeszkolenie trwa zaledwie kilka miesięcy, a poborowi uczą się konkretnych rzeczy**

Służba w wojsku nie musi być jednak długa i nudna. Świadczy o tym choćby przykład Finlandii. Tam przeszkolenie trwa zaledwie kilka miesięcy, a poborowi uczą się bardzo konkretnych rzeczy. Takie rozwiązanie byłoby także możliwe w przypadku Polski. Można by przecież stworzyć zupełnie inny system, oparty na innych ludziach. Należałoby wykorzystać przy tym rezerwistów z sił specjalnych, choćby GROM, którzy wprowadziliby nowatorskie sposoby szkolenia. Można by w efekcie stworzyć zupełnie nowy wzorzec i kulturę rezerwy.

Po tym, co Rosja zrobiła na Krymie, potrzeba przygotowania polskiej armii do obrony kraju jest oczywista. Niestety, naszym politykom nie pierwszy raz brakuje niezbędnej w takich sytuacjach odwagi.

## Putinizacja Turcji



**PIOTR WOYKE**

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

**Premier Recep Tayyip Erdoğan jest nieprzejednany w walce z opozycją, zaś niedzielna wygrana tylko go upewnia co do kierunku podjętych działań.**

Niedzielne wybory samorządowe w Turcji były poważnym testem dla rządzącej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP). Ugrupowanie wygrało znaczną przewagą głosów i zdobyło lepszy wynik, niż przewidywano, niemniej trudno oczekiwać załagodzenia istniejącego kryzysu politycznego.

Trwające od maja ubiegłego roku, z mniejszym lub większym natężeniem, akcje protestacyjne spowodowały utrwalenie podziałów w społeczeństwie. Premier Recep Tayyip Erdoğan jest nieprzejednany w walce z opozycją, zaś niedzielna wygrana tylko go upewnia co do kierunku podjętych działań. Przy tym fala niezadowolenia, która doprowadziła do masowych protestów, pozostaje nieskonsumowana politycznie.

Z pewnych względów Erdoğan może sobie pozwolić na więcej niż inni przywódcy państw sprzymierzonych z Zachodem, jednak ten kredyt cierpliwości nie jest nieograniczony. Przyjęcie przez AKP brutalnej strategii w walce o utrzymanie władzy może doprowadzić nie tylko do dalszej autorytaryzacji systemu politycz-

nego, ale również do poważnych przesunięć w polityce międzynarodowej.

Spróbujmy przez chwilę spojrzeć na kryzys z perspektywy samego premiera. Ostatnia dekada jego rządów jest powszechnie uważana za okres rozkwitu Turcji pod względem gospodarczym i wzrostu jej pozycji jako mocarstwa regionalnego. W międzyczasie zdołał się on rozprawić z przedstawicielami niechętnego mu wojskowej elity, która w przeszłości kilkakrotnie przeprowadzała zamachy stanu i silnie ingerowała w krajową politykę.

Znaczącym czynnikiem, który pomógł premierowi w walce z oficerami, był ruch Fethullaha Gülena – wpływowego islamskiego duchownego. Posiada on rzesze lojalnych członków na całym świecie, własne media, a nawet sieć szkół i uczelni. Organizacja zwana Cemaat (Wspólnota) lub Hizmet (Służba) była skutecznym sojusznikiem w utrwalaniu rządów AKP, za co ceną było wejście wielu jej członków w strukturę władzy.

Erdoğan, którego marzeniem jest wzmocnienie i objęcie urzędu prezydenta,

z naturalnymi obawami obserwował wzrost potęgi ruchu, także wewnątrz własnej formacji. Trwające od 2013 r. protesty odebrał jako wypowiedzenie wojny – wprost mówi o inspirowaniu demonstracji przez gülenistów i obce wywiady (to chwytliwy zarzut w tureckiej polityce).

Trudno ostatnich miesięcy nie zinterpretować jako wymiany ciosów między charyzmatycznym przywódcą a potężną i dość tajemniczą organizacją. Z jednej strony mamy do czynienia z coraz brutalniejszymi działaniami rządu, jak czystki w aparacie siłowym, tłumienie demonstracji czy blokowanie dostępu do popularnych serwisów internetowych. Z drugiej strony członkowie Cemaat są prawdopodobnie odpowiedzialni za ujawnienie kompromitujących nagrań, które obnażają skorumpowanie dygnitarzy państwowych (łącznie z samym premierem i jego rodziną).

Można spojrzeć na Erdoğaną jako polityka nastawionego paranoicznie. Postrzegającego Hizmet jako wpływową lożę, która zagraża jego karierze politycznej, a pośrednio całemu krajowi. Wydaje się jednak, że jest on raczej bezwzględny liderem dążącym do swojego ostatecznego celu, bez skrupułów.

Jak już wspominałem, premier może sobie pozwolić na całkiem dużo. Jest przywódcą ważnego członka NATO, kraju, który ma siłę oddziaływania nie tylko na Bliskim Wschodzie, lecz także w sprawach istotnych dla Unii Europejskiej (choćby w kwestii cypryjskiej).

Pytanie, czy po drodze szef AKP nie zgubi zbyt wielu atutów, które dotychczas stanowiły o atrakcyjności „odnowionej” Turcji. Już dziś trudno sobie go wyobrazić jako „prezydenta wszystkich Turków”, a na szali jest reputacja całego państwa. Ankara tłamsząca wolności obywatelskie

i dostęp do Internetu szybko przestanie uchodzić za patrona demokratycznych przemian w świecie arabskim.

Polityka twardej ręki i granie na akcentach nacjonalistycznych ponownie utrudnią dialog z Kurdami. Traktowanie wszelkich przejawów sprzeciwu jako działalności „obcej agentury” zniweczy wysiłki na rzecz budowy tureckiego soft power. Wreszcie, jeżeli Erdoğan naprawdę zacznie przypominać Władimira Putina, państwa Zachodu będą musiały się zacząć od niego dystansować.

## **Ankara tłamsząca wolności obywatelskie i dostęp do Internetu szybko przestanie uchodzić za patrona demokratycznych przemian w świecie arabskim**

Premier zaś już kilkakrotnie sugerował swoimi działaniami i wypowiedziami, że nie uważa obecnego usytuowania międzynarodowego Turcji za dane na zawsze. Bardzo możliwe, że były to tylko subtelne groźby w kierunku Waszyngtonu, a zarazem przymilne gesty w kierunku Pekinu. Erdoğan prawdopodobnie nie ustanie w próbach konsolidacji władzy i narzucania swojej dominacji.

Nie sposób prognozować, jak będzie patrzeć na świat w sierpniu tego roku, gdy prawdopodobnie wygra wybory prezydenckie. Ostatnie lata wskazują jednak, że elita ma coraz mniej wizji, jak powinna wyglądać Turcja w przyszłości, a coraz większe pragnienie utrzymania dominacji na scenie politycznej.

## Za co warto umrzeć? Za co warto zabić?



### MACIEJ GURTOWSKI

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,  
socjolog

**Pokolenie Kolumbów zdawało się dość dobrze wiedzieć, za co warto umrzeć i za co warto zabić. Czy my dziś wiemy? Czy potrafimy nauczyć nasze dzieci, żeby również to wiedziały?**

Na okładce zeszytygodniowego „Newsweeka” artysta Maleńczuk z bagnetem w dłoni oświadczył, że dla Polski mógłby zabijać. Równoległe red. Marcin Meller napisał w felietonie „Gender śmender wojna”, że żarty z segregowaniem śmieci i homomałżeństwami czas zakończyć, bo za naszą wschodnią granicą giną ludzie. A jeszcze nie dawno salon zachwycał się spokojem Marii Peszek w obliczu wojny. Artyści zdają się bardziej wyczuleni na zmianę nastrojów społecznych, często prędzej niż naukowcy potrafią oni wyczuć zmianę trendu. Jeszcze w niedawno opublikowanym sondażu połowa badanych Polaków deklarowała, że nie jest gotowa walczyć za ojczyznę. Walczyć – czyli co? Zabijać i ginąć?

We współczesnych społeczeństwach, w których więzi rodzinne, sąsiedzkie i lokalno-wspólnotowe zostały na skutek procesów migracyjnych (zarówno wewnętrznych, jak i zagranicznych) porozrywane, łatwo jest zepchnąć śmierć na margines. Kiedyś śmierć była obecna w doświadczeniu każdego człowieka. Gdy umierał

ktos we wsi, wtedy wszyscy jej mieszkańcy brali udział w rytuałach pogrzebowych często trwających wiele godzin (np. „pusta noc”). Dawniej zanim dziecko osiągnęło dorosłość, wielokrotnie bywało świadkiem umierania człowieka. Dziś starszych ludzi oddajemy do domów opieki, zaś usługi pogrzebowe powierzamy wyspecjalizowanym przedsiębiorstwom – szybko, żeby w domu nie śmierdziało. Postępowi sekularyzacji społeczeństw towarzyszy proces spychania śmierci na margines życia codziennego.

### Nowe „pytanie Laski”

W antropologii kulturowej ważne miejsce zajmuje pojęcie powszechników kulturowych, czyli zasad postępowania uniwersalnych dla wszystkich kultur. Jednym z najbardziej znanych powszechników tego typu jest zakaz kazirodztwa. Jednakże o wiele bardziej podstawowe znaczenie dla przetrwania i funkcjonowania danej wspólnoty kulturowej ma to, czy jej członkowie potrafią odpowiedzieć na (używając

języka Laski) dwa proste „zajebicie, ale to zajebicie ważne pytania”: za co warto umrzeć i za co warto zabić?

Połowa Polaków nie jest gotowa walczyć za ojczyznę, ale skąd ci biedni ludzie mają to wiedzieć? Ilu z nich się na ten temat poważnie zastanowiła przed udzieleniem odpowiedzi? Ilu z nich zostało w przeszłości sprawdzonych na tę okoliczność przez zakręty biografii? Czy społeczeństwo lub bardziej konkretnie: mama, tata, proboszcz czy nauczyciel przygotowali ich na śmierć lub na jej zadawanie? Może najpierw należałoby zadać badanym takie pytanie: czy jest sens sadzić drzewa, w których cieniu wypoczywać będą twoje wnuki? Albo to: czy warto beczkować wino, którego nigdy nie spróbujesz? Albo czy byłbyś gotów budować katedrę, której ukończenia nigdy nie zobaczysz?

### Ukraiński paradoks

Oto paradoks ukraiński – cywile na Majdanie walczą i umierają, zaś ukraińscy żołnierze na Krymie rozprawiają się z rosyjskim najeźdźcą przy pomocy taktyki obywatelskiego nieposłuszeństwa. Ci pierwsi zdawali się wiedzieć, za co warto, ci drudzy nie.

Simo Häyhä, fiński bohater wojny zimowej, najskuteczniejszy snajper w historii, który sam zabił ponad pięciuset czerwonoarmistów, jak skomentował fakt pozbawienia życia ponad pół tysiąca ludzi? Powiedział: „Robiłem to, co mi kazano – najlepiej, jak mogłem”. Häyhä wiedział, za co warto.

Powszechny pobór do wojska w PRL i pierwszych latach III RP dokumentnie zożydził Polakom służbę wojskową. Perspektywa wycięcia roku czy dwóch z życiorysu na rzecz bycia poniewieranym przez pozbawionego wykształcenia i au-

torytetu sierżanta powodowała, że kto mógł, unikał zaszczytnego obowiązku. Ponieważ dzięki studiom wyższym i talentom kombinatorskim można było dostać odroczenie, do wojska trafiało nieproporcjonalnie wielu przedstawicieli marginesu. W efekcie następowało tam kulturowe równanie w dół, pojawiały się zjawiska takie jak „fala”, przypominające zwyczaje typowe dla subkultury więziennej.

**Może najpierw należałoby**

**zadać badanym takie**

**pytanie: czy jest sens sadzić**

**drzewa, w których cieniu**

**wypoczywać będą twoje**

**wnuki? Albo to: czy warto**

**beczkować wino, którego**

**nigdy nie spróbujesz?**

Jednocześnie nie sposób wyprzeć ze zbiorowej podświadomości męskiej części społeczeństwa potrzeby kontaktu z wojskowością, czego przykładem zdaje się niezakłócona popularność tematyki wojennej w branży hobbistycznej. Skoro ludzie są skłonni wydawać swoje pieniądze na rozrywki takie jak: paintball czy ASG, to znaczy, że zaspokajają one jakąś ważną potrzebę.

Tymczasem jaką ofertę instytucje państwa mają dla obywateli gotowych zbrojnie służyć ojczyźnie? Armia zawodowa, w której liczba oficerów przewyższa liczbę szeregowych, 20-tysięczne NSR czy organizacje takie jak Strzelec, to zdecydowanie za mało. Jakaś forma powszechnego poboru w kontekście wydarzeń

towarzyszących kryzysowi ukraińskiemu wydaje się nieunikniona.

Ile firma ma ci zapłacić, byś był(a) gotów dla niej zginąć? Ile firma ma ci zapłacić, byś był(a) gotów dla niej zabijać? Instytucje państwa pod względem zarobków, jakie są w stanie zaoferować pracownikom, często jawią się bezradne w obliczu konkurencji z wielkimi firmami. Trudno się dziwić, gdy wysocy urzędnicy państwa porzucają ministerialne fotele dla wielokrotnie większych pieniędzy oferowanych przez międzynarodowe korporacje.

Kto będzie walczył i umierał dla korporacji? Któż na łożu śmierci przyzna, że jednego, czego w życiu żałuje, to tego, że nie zarobił jeszcze więcej pieniędzy? Państwo/społeczeństwo/naród (niepotrzebne skreślić? Wręcz przeciwnie! W tej triadzie nie ma nic zbędnego) posiada pewną przewagę nad prywatnym kapitałem. Państwo narodowe może dać obywatelowi etos i tożsamość. Tożsamość, której elementem będzie wiedza na temat tego, za co warto.

### **Co wiemy o zabijaniu?**

Konflikt ukraiński przywrócił realność ginieńcu i zabijaniu. Miesiąc temu natrafiłem na nekrolog informujący, że na Majdanie

zginął Bohdan Solczanyk, doktorant z Instytutu Socjologii UW. Odległość geograficzna Krymu czy Majdanu ma zupełnie inne znaczenie niż dystans międzyludzki, dzielący mnie i ciebie od poległego Ukraińca. Co Solczanyk myślał, idąc na Majdan? Czy miał świadomość, że tam może czekać go śmierć? Myślenie o śmierci jest trudne. Atrakcyjność ucieczki od problemu zdaje się oczywista.

Zabijanie też jest trudne. Dave Grossman w studium „O zabijaniu”, lekturze obowiązkowej kadetów West Point, twierdzi, że większość ludzi nie potrafi zabijać bez zapadnięcia w psychiczną traumę. Technicznie naciśnięcie spustu jest proste, ale zdaniem Grossmana większość z nas nie potrafi po zabiciu człowieka wrócić do porządku dziennego.

W kinach grają ekranizację „Kamieni na szaniec”. Można odnieść wrażenie, że chłopaki i dziewczyny z powieści Kamińskiego zdają się dość dobrze wiedzieć, za co warto umrzeć i za co warto zabić. Czy my dziś wiemy? Czy potrafimy nauczyć nasze dzieci, żeby również to wiedziały?

Nie sposób uciec od tych pytań w sytuacji, gdy na Wschodzie znów, jak sto lat temu w wierszu Majakowskiego, do głosu dochodzą towarzysze Tokariew, Markarow, Abakan i Wintorez.

## Ordoliberalizm. Ziemia (Polakom) nieznana



**KRZYSZTOF WOŁODŹKO**

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

**Zdaniem ordoliberalów rynek nie może mieć zawsze racji, ludzkie życie nie może być bowiem zredukowane do procesów wymiany dóbr. Ta sama niechęć do materializmu każe im też krytykować Karola Marksa.**

W pierwszej połowie marca 2014 r. przewodniczącym Konferencji Episkopatu Niemiec został abp Reinhard Marx, autor „Kapitału”. To nie żart. Wydana w roku 2008 książka „Kapitał. Mowa w obronie człowieka” była głośnym wydarzeniem w Niemczech, także ze względu na ugruntowaną tam pozycję duchownego, zarówno w sferze debat, jak i aktywności publicznej.

Rok później publikacja ukazała się również u nas. Krótką przedmową do polskiego wydania opatrzył ją sam autor, wówczas arcybiskup Monachium i Fryzycji. Pisał: „Katolicka nauka społeczna nie jest tylko zwykłym apelem moralnym, ale prawdziwą orientacją wielowymiarowego działania wpływającego z chrześcijańskiego obrazu świata.

Być może spojrzenie na sytuację w Niemczech i przemyślenia niemieckiego biskupa katolickiego, który już od dawna zajmuje się intensywnie katolicką nauką społeczną, mogą także w Polsce stać się konstruktywnym przyczynkiem do dyskusji. [...] »Skarb« katolickiej nauki społecznej został w przeszłości przechowany

poprzez jej zaangażowanie w tworzenie sprawiedliwego i zarazem skutecznego ekonomicznie porządku. Jestem przekonany, że ta nauka może zaoferować również przyszłości solidne punkty orientacyjne”.

### **Kościół i praca**

Z rodzimej perspektywy książka abp. Marxa może wydawać się co bardziej zacieklej zwolennikom koncepcji wolnorynkowych wręcz lewacka, przez swoje zdecydowane krytyki współczesnego kapitalizmu, podnoszenie zagadnień sprawiedliwości społecznej, podkreślenie ograniczonego znaczenia mechanizmów czysto rynkowych w życiu społecznym i państwowym. Ale jednym z głównych antagonistów swojej pracy abp Marx uczynił nie tylko współczesną doktrynę wolnorynkową, ale i najistotniejszego, śmiertelnego wroga kapitalizmu jako takiego: Karola Marksa.

Równocześnie nie bez powodu na kartach swojego „Kapitału” duchowny przypomina biskupa robotników Wilhelma

Emmanuela von Kettelera. Bo filozof z Trewiru widział w nim ważnego przeciwnika. Z właściwym sobie urokiem pisał o nim do Engelsa: „Podczas tej podróży przez Belgię, pobytu w Akwizgranie i jazdy w górę Renu przekonałem się, że trzeba zdecydowanie wystąpić przeciw klechom, zwłaszcza na katolickich terytoriach. Będę tutaj działał poprzez Międzynarodówkę. Psy (np. bp Ketteler, klechy na kongresie w Düsseldorfie), gdzie tylko się da, kocietują robotników, zajmując się problemami pracy”.

Tak oto Karol Marks opisał nam początki XIX-wiecznej katolickiej odpowiedzi na marksizm i na wielkoprzemysłowy kapitalizm. Bp Ketteler wspierał powstawanie chrześcijańskich stowarzyszeń robotniczych i związków zawodowych, naciskał na instytucje państwowe, by podjęły się prawnej opieki robotników przed wyzyskiem, a ich samych zachęcał do zorganizowanej walki o sprawiedliwe płace. Leon XIII, autor „Rerum Novarum”, nazywał go „swoim wielkim poprzednikiem”. A na kartach encykliki „Deus caritas est” Benedykt XVI przypominał: „Struktury produkcyjne i kapitał był nową władzą, która, złożona w ręce niewielu, prowadziła masy pracownicze do utraty praw, przeciw czemu trzeba było protestować. [...] Przedstawiciele Kościoła bardzo powoli przyjmowali do świadomości, że problem sprawiedliwej struktury społeczeństwa jawi się w nowy sposób. Nie brak było pionierów: jednym z nich był np. bp Ketteler z Moguncji”.

Przypomnienie tej mało znanej na gruncie polskim postaci jest o tyle istotne, że bp Ketteler był jednym z najważniejszych inspiratorów wielu nurtów niemieckiej myśli społeczno-gospodarczej, czerpiących także z dorobku doktryny katolickiej. I jest jednym z pierwszych, od

których zaczyna się spór katolickiej nauki społecznej z marksizmem; spór, który wbrew stereotypowemu ujęciu nie zaczął się z encykliką „Rerum Novarum”.

### Od Kettelera do Erharda

Wśród o wiele bliższych nam czasowo doktryn inspirowanych chrześcijaństwem trzeba wskazać ordoliberalizm, do którego odwołuje się również abp Marx. Także w obrębie tej koncepcji szuka diagnoz, propozycji i rozwiązań dla świata współczesnego kapitalizmu, dla swojego państwa i dla gospodarki globalnej.

**Przez lata niewolniczo kopiowaliśmy wzory sowieckie, po roku 1989 zaś dawni specjaliści od ekonomii marksistowskiej przekwalifikowali się błyskawicznie na ortodoksyjnych liberałów**

U źródeł ordoliberalizmu stoi przekonanie, wyrażone jeszcze w pierwszych dziesięcioleciach XX w. przez Franza Böhme, że system kapitalistyczny wraz z przejmowaniem coraz szerszych dziedzin ludzkiego życia prowadzi do gromadzenia w jednych i tych samych rękach władzy i kapitału, co skutkuje powstawaniem karteli i monopoli.

Zdaniem ordoliberalistów rynek nie ma i nie może mieć zawsze racji, gdyż procesy rynkowe nie są ostatecznym celem ludzkich społeczeństw, a jedynie pewnym dobrem w znacznie bogatszym porządku



(łac. ordo) ludzkich dóbr. Rzeczywistość rynkowa musi znaleźć swoje ramy w świecie, w którym istotne są także kwestie ustroju państwowego czy prawnego. Państwo jednak nie jest tutaj wszechwładne, gdyż zarówno mechanizmy rynkowe, jak i dobro społeczeństwa potrzebują wolności także od instytucjonalnego nadzoru nowoczesnej biurokracji. Rząd ma jednak prawo i obowiązek aktywnie działać w sferze gospodarki, choćby po to, by zapobiec negatywnym skutkom oligarchizacji/„korporyzacji” kapitalizmu.

Historycznie rzecz biorąc, jednym z najistotniejszych momentów wpływów ordoliberalistów w Republice Federalnej Niemiec były rządy Ludwika Erharda. Wiązało się to choćby z bardzo wysokim poziomem zatrudnienia, stabilnością cen i znacznym zwiększeniem dochodów obywateli. Warto jednak podkreślić, że niemiecki ordoliberalizm stawiał raczej na „społeczeństwo dobrobytu” niż na „państwo dobrobytu” i w praktyce niemiecka społeczna gospodarka rynkowa nie pokrywała się ściśle z teoretycznymi założeniami ordoliberalizmu.

Niemiecka myśl społeczno-gospodarcza jest w Polsce niemal nieznaną, choć do wypracowanego tam w praktyce i teorii terminu „społeczna gospodarka rynkowa” odwołuje się – czysto nominalnie – nasza konstytucja. Fascynacja anglosaskimi rozwiązaniami ekonomicznymi, wsparta również instytucjonalnym wpływem organizacji opartych zwykle na amerykańskim kapitale, sprawiła, że doktryny, lecz także rozwiązania stosowane przez dziesięciolecia przez naszych sąsiadów są nam kompletnie obce. Wpływ na to miała też historycznie i geopolitycznie rozumiała cała złożoność polsko-niemieckich stosunków w XX w.

Ordoliberalizm stoi za licznymi sukcesami tamtejszej społecznej gospodarki rynkowej. Jednak w polskiej świadomości prawie nie istnieje. Z gorzką ironią uchwycił to dr hab. Rafał Łętocha na kartach książki: „O dobro wspólne. Szkice z katolicyzmu społecznego”: „Przez lata niewolniczo kopiowaliśmy wzory sowieckie, po roku 1989 zaś dawni specjaliści od ekonomii marksistowskiej przekwalifikowali się błyskawicznie na ortodoksyjnych liberałów i w tym duchu zaczęli reformować polską gospodarkę. Wyobraźnię ludzi rozbudzano wzorem dalekiej Japonii, której kopia miała powstać między Odrą a Bugiem, natomiast pozostawano zupełnie obojętnym na to, co się stało za naszą zachodnią granicą”. Ale rzecz nie dotyczy tylko postkomunistycznych liberałów, lecz znacznej części naszej klasy politycznej i opiniotwórczej, niezależnie od różnorodności afiliacji ideowych.

Na marginesie: polska ślepotą wobec niemieckich doświadczeń miewa nader praktyczne, bardzo interesujące punkty odniesienia. W 2006 r. prof. Józefina Hryniewicz, jedna z gorących przeciwniczek reformy emerytalnej z roku 1999 r., opowiadała „Obywatelowi”: „W 1997 r. byli u nas eksperci niemieccy i był taki prof. Schmäll, przewodniczący Stowarzyszenia Zabezpieczenia Społecznego w RFN. Wygłaszał w Polsce wykłady na temat reformy ubezpieczeń społecznych. Mówił, że Niemcy nie wprowadzą takiej reformy jak Polska, bo mają zbyt słaby system finansowy i bankowy. [...] Wobec tego, jeśli Polacy są tak odważni, to niech ten system wprowadzają, bo w Niemczech nie ma takich odważnych”.

Ciąg dalszy dopisała historia, a dziś już dobrze wiemy, że to przede wszystkim troska o interesy zagranicznego kapitału

zadecydowała o tym, iż zlekceważono ostrzeżenia jak powyższe. Pokazuje to dobitnie, co odróżnia rzeczywistość niemiecką społeczną gospodarkę rynkową od jej polskiej wersji zapisanej na papierze, choćby w dokumencie tej wagi co konstytucja.

Czas najwyższy, aby młodsze pokolenia polskich publicystów zerwały ze sztampą obowiązującą w kwestii odwoływania się do zachodnich koncepcji społeczno-gospodarczych. Niemcy są tutaj bardzo interesującym, niestereotypowym punktem odniesienia.

## Poroszenko jest Polsce na rękę



### WITOLD JURASZ

Były dyplomata, m.in. w Moskwie i na Białorusi,  
blogger

**„Król czekolady” to człowiek o dużym wyczuciu politycznym i znacznym talencie. Dla Kremla będzie twardym przeciwnikiem, który zapewne wzmocni resorty siłowe i ustabilizuje sytuację w kraju.**

To oczywiste, że na Ukrainie będą rządzić oligarchowie. Bałbym się wręcz, gdyby w wyścigu prezydenckim wyłonił się nagle jakiś trybun ludowy. Moskwa ma bowiem niezmiennie bardzo duże wpływy w Kijowie i mogłaby takiego polityka wykreować. Jest też coraz więcej poszlak wskazujących na to, że to Kreml stoi za prowokacjami Prawego Sektora. Krótko mówiąc, z dwojga złego lepiej, aby rewolucję ukradli oligarchowie, niż gdyby mieli ją ukraść radykałowie, którzy – co by się mogło okazać po latach – od początku siedzieliby w kieszeni Moskwy.

### Silny człowiek

Petro Poroszenko, obecny lider sondaży prezydenckich, to w tej chwili najlepszy kandydat zarówno dla Kijowa, jak i Warszawy. To człowiek o dużym wyczuciu politycznym i znacznym talencie. Na tle reszty oligarchii wydaje się też stosunkowo „czysty” – prowadzi dość transparentny biznes. Jest również politykiem twardym. Pod jego rządami można się spodziewać

wzmocnienia resortów siłowych, był już przewodniczącym Rady Bezpieczeństwa i Obrony działającej przy prezydencie. Zapewne nie brzmi to najlepiej, ale po karnawale rewolucji musimy być gotowi na wsparcie działań o charakterze represyjnym w stosunku do najbardziej radykalnych sił.

W interesie Ukrainy (i naszym) jest to, by spacyfikowano ludzi, którzy chcą paradować z bronią po Kijowie. Chaos, którego jesteśmy chwilami świadkami, daje bowiem argumenty do ręki Moskwie, która coraz częściej określa Ukrainę jako „failed state” (kraj upadły). Tym bardziej potrzebny jest obecnie silny prezydent.

Poroszenko, zwany „królem czekolady”, to oczywiście typowy oligarcha, który trzymał już z niejedną ekipą. Najpierw wspierał pomarańczową rewolucję, później był ministrem w rządzie Mykoły Azarowa (były premier, współpracownik Wiktora Janukowycza). W końcu zaś stał się jednym z głównych sponsorów Majdanu. Taka elastyczność bynajmniej go jednak nie dyskredytuje – przeciwnie:

jest warunkiem koniecznym, by móc efektywnie rządzić.

Co ważne, Petro Poroszenko odczuwa wspólnotę losu z ukraińską oligarchią, która dziś po prostu boi się Rosji. W Kijowie zawsze istniało poczucie, że w zderzeniu z Moskwą ukraińska oligarchia nie ma szans, a już na pewno nie zdołałaby utrzymać wpływów politycznych. Kreml dodatkowo wzmocnił te obawy, zezwalając na to, by na Krymie już teraz dochodziło do przejmowania majątku ukraińskich biznesmenów przez promoskiewskie siły pod wodzą Siergieja Aksjonowa (obecny premier Republiki Krymu).

W efekcie tej niezbyt roztropnej polityki Moskwy nawet ludzie z Partii Regionów (dawna formacja Janukowycza) zaczynają się układać z aktualną ekipą w Kijowie. Sygnałem to potwierdzającym jest dla mnie wystawienie Mykhaila Dobkina jako kandydata na prezydenta. Partia Regionów mogła sięgnąć po znacznie mocniejszych, bardziej rozpoznawalnych kandydatów, wolała jednak wystawić kogoś absolutnie niewybieralnego. Dobkin jako parlamentarzysta zasłynął np. propozycją przeniesienia stolicy z Kijowa do Charkowa, co już samo w sobie powoduje, że ma ogromny elektorat negatywny w zachodniej i centralnej Ukrainie.

### **Rosja gra swoją grę**

Jeśli Partia Regionów przestanie się liczyć, to Rosja będzie musiała sobie poszukać nowego kandydata. Kimś takim mogłaby być np. Julia Tymoszenko. Jej przeszłość polityczna i biznesowa, a zwłaszcza jej związki z Pawłem Łazarenko (były premier, skazany w USA za defraudację) wyraźnie wskazują na to, że jest postacią bardzo dwuznaczną. Na szczęście jednak Tymoszenko wydaje się politycznie na tyle osła-

biona, że raczej nie pociągnie za sobą większości wyborców.

Wydaje się zatem, że w wyścigu prezydenckim pojawić się może ktoś jeszcze. Nie jest zresztą pewne, czy do wyborów dojdzie w planowanym terminie, czyli 25 maja. To, czy Rosjanie wejdą na wschodnią Ukrainę, jest tematem na osobny tekst, ale w kontekście wyborów istotne jest to, że nawet nie dokonując interwencji, mogą sabotować ukraińską demokrację na wiele innych sposobów.

**Po karnawale rewolucji musimy być gotowi na wsparcie działań o charakterze represyjnym w stosunku do najbardziej radykalnych sił**

Możliwe jest np., że wywołując zamieszki, uniemożliwią przeprowadzenie wyborów we wschodniej części kraju. Mogą starać się podważyć ich ważność tak, aby nie pozwolić ekipie pomajdanowej na wzmocnienie swojej władzy za pomocą mocnego wyborczego mandatu. Możliwe są prowokacje, skandale i protesty wyborcze.

Innymi słowy, gra się toczy dalej. Teraz najważniejsze jest pytanie, czy do ewentualnego porozumienia Zachodu z Rosją ws. Ukrainy dojdzie przed, czy po wyborach i jak daleko idący będzie to konsensus. Czy oznaczać on będzie pozostawienie Kijowa w strefie buforowej, czy też wręcz uznanie Ukrainy jako elementu rosyjskiej strefy wpływów. Powyższe rozstrzygnięcie może dla przebiegu wyborów mieć znaczenie nie mniejsze od wewnątrzukraińskiej dynamiki.



## Wesprzyj nas

**Dzięki Darczyńcom „Nowa Konfederacja” powstała i działa. Dzięki Darczyńcom będzie mogła nadal istnieć i rozwijać się.**

**Dlatego prosimy o wsparcie! Każda złotówka, jeśli ma charakter stałego zlecenia przelewu, ma dla nas istotne znaczenie.**

Wpłaty prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita:

**09 1560 0013 2376 9529 1000 0001** (Getin Bank)

W tytule przelewu prosimy wpisać: „darowizna na cele statutowe”.

### **Dlaczego warto nas wspierać?**

Rynek w obecnej postaci nie sprzyja poważnej debacie o państwie i polityce. Dowodem są wszechobecne i pogłębiające się procesy tabloidyzacji i upartyjnienia mediów opiniotwórczych. Z drugiej strony, zaawansowana wiedza o polityce jest coraz częściej dostępna jedynie dla nielicznych i za coraz większymi opłatami. W Polsce dochodzi do tego problem finansowania wielu ośrodków opiniotwórczych zza granicy i głęboki kryzys mediów (z nazwy) publicznych.

Jeśli ten trend ma się odwrócić, **potrzebny jest alternatywny, obywatelski model finansowania mediów**. Dobrowolny, stały mecenat wystarczająco dużej liczby Polaków umożliwi nam stworzenie prężnego ośrodka intelektualnego. Niezależnego zarówno od partii, od wielkiego kapitału, od gustów masowej publiczności, jak i od zagranicznych ośrodków. I dostarczenie darmowej, zaawansowanej wiedzy o polityce zainteresowanym nią obywatelom.

**„Nowa Konfederacja” to (na gruncie polskim) projekt pionierski także pod względem sposobu finansowania.** Działamy bowiem właśnie dzięki mecenatowi obywatelskiemu.

Każde stałe zlecenie przelewu jest ważne! **Dołącz do grona naszych Darczyńców i wspieraj media naprawdę publiczne!**

**Darowizny na rzecz fundacji są w Polsce** (art. 16 ustawy o fundacjach) **zwolnione z podatku**. Co więcej, **podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

## O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

### **Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.**

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

### **Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.**

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

### **Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.**

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

**Dlaczego konfederacja?** Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

### **Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!**

## „Nową Konfederację” tworzą

### **Darczyńcy:**

Pięćdziesięciu Pięciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Jerzy Martini, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Remiszewski, Piotr Woźny (Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

### **Redakcja:**

Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski (p.o. sekretarza redakcji)

### **Redaktor prowadzący:**

Michał Kuź

### **Stali współpracownicy:**

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Tomasz Pichór, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke

### **Grafika (okładki):**

Piotr Promiński

### **Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:**

Przemysław Skrzydelski

### **Komunikacja internetowa:**

Michał Kuź

### **Skład:**

Rafał Siwik

### **Wydawca:**

Fundacja Nowa Rzeczpospolita

### **Kontakt:**

redakcja@nowakonfederacja.pl

### **Adres (wyłącznie do korespondencji):**

Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa